



tekst

KS. SŁAWOMIR CZALEJ

redaktor wydania

Czym jest roztropność? Nad starożytną cnotą zastanawiali się uczestnicy kolejnego Gdańskiego Areopagu. To umiejętność unikania problemów i niebezpieczeństw, długomyślność, widzenie szerszej perspektywy (s. IV-V). Szczególnym nauczycielem roztropności jest Kościół. Istnieje już ponad 2000 lat i w swojej historii przeżył niejedno... Doświadczenia z przeszłości, szczególnie te dramatyczne i bolesne, każą mu postępować roztropnie. A na czym owa roztropność polega? Ano i na tym, że nie goni się za modą, nie podejmuje decyzji w pięć minut. Przykładem może być budująca się parafia w Kapinie. W perspektywie życia ludzkiego posuwa się ona powoli. Roztropność podpowiedziała jednak miejscowemu proboszczowi, żeby nie brać kredytu, a budowanie parafii rozpocząć od tworzenia dobrych relacji z ludźmi (s. VIII).

Po prawie 200 latach nasz arcybiskup dał zielone światło, żeby raz jeszcze zacząć przygotowania do procesu beatyfikacyjnego dwóch świątobliwych cystersów. Ktoś powie: długo trzeba było czekać. Może i tak. Ale w perspektywie Kościoła, nie mówiąc już o życiu wiecznym, taki czas nie jest nawet sekundą. Adam Trebnic i Iwo Roweder, cystersi, też żyli roztropnie. To znaczy dobrze.

Nowi błogosławieni Kościoła gdańskiego?!

Będzie proces



ZDJĘCIA: KS. SŁAWOMIR CZALEJ

– Cystersi mają taki niepisany zwyczaj, że nie angażują się w starania o ogłoszenie świętymi swoich współbraci – mówi ks. dr Grzegorz Rafiński, proboszcz parafii św. Mikołaja w Łęgowie.

Z inicjatywy łęgowskiego proboszcza w środę 16 listopada doszło do spotkania z metropolitą gdańskim abp. Sławojem Leszkiem Głódziem. W spotkaniu, obok ks. Rafińskiego, uczestniczyli ks. dr Zbigniew Zieliński, proboszcz parafii archikatedralnej w Gdańsku-Oliwie, cysterski opat ze Szczyrzycy o. Dominik Andrzej Chucher oraz ks. dr Leszek Jażdżewski, historyk.

Spotkanie z gdańskim metropolitą można uznać za wydarzenie historycz-

ne. Od środy wszelkie informacje o dwóch świątobliwych cystersach, o. Adamie Trebnicu, opacie oliwskim pochowanym w katedrze, oraz o. Iwonie Rowederze, pochowanym w Łęgowie, mogą być użyte za lub przeciwko nim. Oczywiście nie na ławie oskarżonych, ale w przyszłym procesie beatyfikacyjnym.

– Przekonanie, że o. A. Trebnic zmarł w opinii świętości, jest aktualne do dziś. Zresztą kiedy przenoszono trumnę opata, zastano jego ciało w stanie nienaruszonym – mówi ks. Zieliński. Przeniesienie trumny opata do krypty pod kaplicą Świętego Krzyża, gdzie spoczywają dzisiaj także gdańscy biskupi, nastąpiło w 1910 r. z inicjatywy ówczesnego proboszcza ks. Franciszka Schrötera. Zachowały się także wcześniejsze świadectwa o nienaruszonym stanie ciała opata, znanego z surowej ascezy. Ojciec Trebnic zmarł w wigilię Wniebowzięcia NMP, patronki zakonu, 14 sierpnia

Grób Iwona Rowedera odnaleziono dzięki determinacji obecnego łęgowskiego proboszcza
PO LEWEJ: Portret cystersa

1630 r. – Łaski i cuda za przyczyną świątobliwego opata spisał jego współbrat Iwo Roweder, który bez wątpliwości pochowany został w przedśionku kościoła w Łęgowie – mówi ks. Rafiński. Nastąpiło to przed 1740 r. Niestety, kasata klasztoru oliwskiego uniemożliwiła przeprowadzenie procesu beatyfikacyjnego o. Trebnica.

Sam Iwo Roweder zmarł 29 maja 1765 r. na plebanii w Łęgowie. Był tu pod koniec życia proboszczem, a jego trumna została odnaleziona w 2009 r. po odsłonięciu płyty nagrobnej.

Arcybiskup Sławoj Leszek Głódź udzielił swojego błogosławieństwa na poszukiwania informacji o kandydatach na błogosławionych. Przyda się zwłaszcza ks. Jażdżewskiemu podczas penetrowania archiwów. Do tematu na pewno powrócimy za czas jakiś.

Ks. Sławomir Czalej

Hubertus i sztandar

WEJHEROWO. 16 listopada abp Sławoj Leszek Głódź poświęcił sztandar Nadleśnictwa Wejherowo oraz figurkę św. Huberta, patrona leśników (na zdjęciu), która stanie w leśnej kapliczce w Gniewowie. – To już drugi sztandar ufundowany przez społeczeństwo w dowód wdzięczności dla naszej pracy – mówi Zbigniew Kaczmarczyk, dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku. Pierwszy sztandar otrzymało nadleśnictwo w Lęborku w 2006 r. A Lasy Państwowe to prawdziwy sukces Polski. – Panuje opinia, że jest ich coraz mniej, a to nieprawda. Od lat 60. XX wieku przybyły w Polsce 3 miliony hektarów zalesionych terenów. Mamy ich teraz aż 9 milionów! – podkre-



śla Kaczmarczyk. Warto zauważyć, że w tej liczbie mieści się 78 proc. lasów państwowych i 22 proc. lasów prywatnych, o które również dbają leśnicy. – Województwo pomorskie ma nieco mniej lasów prywatnych i jest trzecie w Polsce, jeżeli chodzi o lesistość! – cieszy się dyrektor. Prawie 37 proc. powierzchni!

Uroczystość w kościele Świętej Trójcy miała jeszcze jeden kontekst. Kończy się właśnie Międzynarodowy Rok Lasów, który był okazją do przypomnienia, że w Polsce są one europejskim unikatem. – Nigdzie lasy nie są tak otwarte dla ludzi jak u nas. Dla wielu osób las jest podstawowym źródłem utrzymania i przetrwania – dodaje poważnie Z. Kaczmarczyk. A to, co poza drewnem można z lasu legalnie pozyskać, wyraża się sumą milionów złotych. Lasy pomorskie, wejherowskie,



Proboszcz ks. prał. Tadeusz Reszka sam jest synem leśnika, dlatego leśne tematy są mu bardzo bliskie

ZDJEŃCIA KS. SŁAWOMIR CZALEI

w kontekście dramatycznej historii najnowszej, też są szczególne. Leśnicy wejherowscy przyczynili się do zachowania pamięci o miejscu hitlerowskich mordów w Piaśnicy, wyłączając te obszary z pozyskiwania drzewa. – Był taki okres, że lasy były wycinane – przypomina dyrektor. Sami leśnicy także niejednokrotnie ponosili śmierć z rąk hitlerowskiego okupanta czy komunistycznego reżimu. Swoistym „spiritus movens” przedsięwzięcia

był ks. prałat Tadeusz Reszka, proboszcz wejherowskiej kolegiaty. – Wejherowo łączy opatrnościowo Puszcze Darżlubską z lasami oliwskimi. Jest to jedyny taki przesmyk pomiędzy dwoma potężnymi kompleksami leśnymi – mówi ks. proboszcz, sam syn leśnika. O lasach nie tylko pomorskich nie mówi się jako o towarze, ale o majątku. – Bo nie sprzedaje się ich, tak jak nie wyprzedaje się sreber rodowych – mówi Z. Kaczmarczyk.

Ćwierć wieku śpiewania

LINIA. Znany z występów, także w naszej archidiecezji, chór Pięciolinia z Linii (diecezja pelplińska) obchodził niedawno swój srebrny jubileusz. Tradycje śpiewacze sięgają w Linii lat 30. ub.w. Organista

parafialny prowadził wtedy chór kościelny, jednak nie przetrwał on do naszych czasów. Rozwój Pięciolinii nastąpił dzięki współpracy z chórem Lutnia z Luzina. Zaowocowało to włączeniem do repertuaru

pieśni religijnych w języku kaszubskim. Przełomem w historii naszej jubilatki były występy wraz z innymi pomorskimi chórami w koncertach Pierwszej Pasji Kaszubskiej oraz nagranie płyty. W 2009 r. chór

nagrał z chórem Lutnia kolejną płytę, na której znajduje się 12 pieśni religijnych oraz Msza św. kaszubska na chór i diabelskie skrzypce. Obecnie w chórze śpiewa 25 (sic!) członków.

fotofakty



ROMAN JOCHER

GDYNIA-ORŁOWO, 19.11.2011 r. Marek Ginter (lat 55) od 38 lat jest rybakim. Jego syn Marek (lat 25) od 2 lat towarzyszy ojcu w połowach. Obaj pozują do zdjęcia na tle łodzi Orłowo 9. W morze wypływają o godzinie 1.00 w nocy, a wracają około godz. 6.00 nad ranem.

Modlitwa za współbraci

GDYNIA. 14 listopada w kościele pw. św. Andrzeja Boboli w Gdyni-Obłuzu odbyła się kongregacja kapłanów dekanatu Gdynia-Oksywie. Księża spotkali się, aby pomodlić się za swoich zmarłych poprzedników, śp. biskupów chełmińskich oraz proboszczów i wikariuszy, którzy pracowali na terenie Kępy Oksywiej. Sylwetki poprzedników od połowy XIX w. przybliżył ks. dziekan Sławomir Decowski, inicjator spotkania, a także historyk Kościoła. Mszy św. przewodniczył metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. W homilii arcybiskup powiedział, że zmarli kapłani mają prawo do modlitwy wiernych, którym na ziemi służyli przepowiadaniem słowa Bożego i sakramentami świętymi. Po nabożeństwie Chór Cantus pod dyrek-

cją miejscowego organisty Karola Hilli wykonał „Requiem” Gabriela Faure, francuskiego kompozytora końca XIX wieku.

Centrum Informacyjne
Archidiecezji Gdańskiej:

www.adalbertus.gda.pl

GOŚĆ GDAŃSKI

gdansk@gosc.pl

ADRES REDAKCJI:
ul. bp. E. Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk
TELEFON/FAKS (58) 554 34 15
REDAGUJĄ:
ks. Sławomir Czalei – dyrektor oddziału,
Andrzej Urbański

Przed zabawą andrzejkową

Duszę towarzystwa zatrudnię

– Kiedy ludzie się dobrze bawią, to zapominają o dopalaczach. Do zabawy w miłą atmosferze alkohol nie jest potrzebny – mówi **Szczepan Babiuch**, wodzirej z Gdyni.

DARIUSZ DULABA: Mówi się, że już niedługo wodzirejów zastąpią didżeje i konferansjerzy. Zgodzi się Pan z tym?

SZCZEPAN BABIUCH: – Nie. I chyba nie szybko to nastąpi, skoro sami eksperci z branży rozrywkowej przyznają, że z roku na rok rośnie zainteresowanie imprezami z udziałem wodzirejów.

Niektórzy uważają, że to nie jest dobre zajęcie dla chrześcijanina.

– To zbyt surowa ocena. Nie boję się podejmować nowych wyzwań, a zająłem się tym, bo lubię prowadzić dobrą zabawę. I wcale mi to nie przeszkadza w zbliżaniu się do Boga. Przeciwnie, daje mi siłę i motywację do pracy. Pewnego razu zapytano Karola Wojtyłę, czy uchodzi, aby kardynał jeździł na nartach. Przyszły papież uśmiechnął się i odparł: „Co nie uchodzi kardynałowi, to że jeździć na nartach!”.

Biorę przykład z tej postawy i staram się być dobrym wodzirejem. Takim, który wie, jak porwać ludzi do zabawy, potrafi zapewnić właściwą oprawę, zabawę na wysokim poziomie i miłą atmosferę. Czego potrzeba? Ważne są elokwencja, kultura osobista, umiejętności organizacyjne, zdolności reżyserskie i odpowiedzialność. Dlatego podczas każdej imprezy staram się

dać z siebie wszystko, koordynować i utrzymywać kontakt z innymi ekipami (np. muzykami, kuchnią). Dzięki temu mogę prowadzić prawie każdą uroczystość: wesele, bal, rocznicę, jubileusz, festyn, a także być konferansjerem podczas gali lub koncertu.

Ojciec Leon Knabit uważa, że dojrzała wiara nie skupia na sobie uwagi ani nie upomina się o swoje. Panu udaje się zachęcać i motywować ludzi. Jak Pan to robi?

– Najpierw zapraszam ludzi do siebie (np. parę młodą) i staram się poznać ich oczekiwania, jaki charakter ma mieć uroczystość. Niczego nie narzucam. Potem starannie opracowuję scenariusz (dobieram muzykę, gadżety, które mogą wykorzystać podczas np. konkursu tańca czy loterii fantowej) i rezerwuję czas na zabawę, biesiadę i rozmowę. Kiedy ludzie dobrze się bawią, to zapominają o dopalaczach. Pamiętam, jak prowadziłem kiedyś wesele, gdzie na 105 osób zakupiono 115 butelek wódki. Na drugi dzień okazało się, że pozostało nietkniętych 95 butelek. Bardzo ciekawe, że wypito zaledwie 20 sztuk, a zabawa była przednia.

Aż trudno w to uwierzyć. Ale skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest... tak źle i nawet na Komunii dziecka raczymy się alkoholem.

– To dobre pytanie. Niedawno przeprowadzono badania (na zlecenie Państwowej Akademii Nauk), które ujawniły, że potrafimy i lubimy świetnie się bawić, ale bardzo wstydźmy się złych opinii współbiesiadników. Stąd na stole alkohol, który niby ma zmniejszyć dystans i pomóc pokonać nieśmiałość. Niepotrzebnie. Ludzie mają mnóstwo talentów; zwykle na każdej imprezie są dusze towarzystwa. Warto takie osoby wykorzystać. Im więcej pomysłów, tym mniej nudy i alko-

holu. Inaczej w wielu wypadkach zaczyna się od wypicia kieliszka „na odwagę” do zabawy.

Niektórzy rodzice zakazują dzieciom wyjścia na imprezy, by chronić je przed próbami nakłaniania do picia alkoholu, zażywania narkotyków czy edukacji poprzez pornografię. Czy to zdaje egzamin?

– Nie ma jednej reguły. Chodzimy na imprezy, by mieć dobry czas i wybawić się. I to jest dobre. Uważam, że z naszą młodzieżą nie jest aż tak źle i potrafi o siebie zadbać, o ile okażemy jej więcej zaufania. Poznałem wielu takich młodych ludzi. Niektórzy przystąpili do krucjaty antyalkoholowej i mówią otwarcie, że nie zamierzają się zmieniać. Można zaproponować im zorganizowanie chrześcijańskich imprez. Razem z kolegami wodzirejami z katowickiego Ośrodka ks. Franciszka Błachnickiego myślimy o założeniu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wodzirejów Imprez Bezalkoholowych. Od wielu już lat prowadzą oni specjalne kursy i warsztaty, gdzie można nauczyć się wielu rzeczy.

Warto nauczyć się wykorzystywać każdą możliwość, by nieść radość. Bo gdzie jest dobroć, tam rodzi się wdzięczność.

– To prawda. Niedawno podczas śniadania po zakończonym weselu bezalkoholowym podszedł do mnie

ojciec pana młodego, podziękował i powiedział, że tak dobrze nie bawił się od 30 lat na żadnym weselu. Po raz pierwszy obudził się bez kaca i sam odwiózł gości na dworzec. Oprócz tego cała rodzina wyjeżdżała w dobrych humorach i była pod wrażeniem, że mogła się świetnie bawić do białego rana.

Zbliżają się andrzejki i karnawał. Co by Pan doradził?

– Zamiast sobie wróżyć, można spróbować rozdać cytaty z Biblii albo zachęcić do losowania cytatu dla małżonka. Jeśli jest to impreza klasowa, można wybrać z kalendarza złote myśli znanych filozofów (także świętych) i zaproponować gry sprawnościowe albo zadania, które uczą twórczo myśleć.



Szczepan Babiuch przekonuje, że im więcej pomysłów, tym mniej nudy i alkoholu

GDAŃSKI AREOPAG.

– Mam wielką nadzieję, że było to ostatnie powstanie w Polsce. My nie gloryfikujemy klęski, ale ludzkie postawy i wybory

– mówi Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego.

tekst i zdjęcia

KS. SŁAWOMIR CZALEJ

slawomir.czalej@gosc.pl

Tegoroczny gdański Areopag może nie tyle rozpałił, ile podgrzał tradycyjny polski spór o przeszłość. Spierano się jednak nie tylko o sens i znaczenie powstania warszawskiego, zawarte w pytaniach: „Czy było warto?” lub „Czy było to roztropne?”. Cnota roztropności dotyczy też m.in. umiejętnego wydawania pieniędzy oraz zaciągania kredytów. Także po to, żeby roztropnie uniknąć sytuacji, w której znalazła się Grecja. Państwu grozi bankructwo.

Roztropność i dobro wspólne

Mówienie o cnotcie roztropności, czy też w ogóle o cnotach, w XXI wieku wywołuje konsternację. – Dzisiaj o cnotach mówi się niewiele albo wcale się nie mówi – rozpoczął dyskusję prof. Jacek Hołówka, filozof i etyk z Uniwersytetu Warszawskiego. Tymczasem roztropność pozwala dostrzegać dobro w perspektywie nieco dalszej niż natychmiastowa, a co za tym idzie, pozwala przekuć własną chwilową korzyść na korzyść wspólną. Jest zatem cnotą społeczną, ważną, wydawałoby się, w funkcjonowaniu państwa. Starożytni Grecy, a wśród nich pewnie najbardziej Platon,

uważali roztropność za cnotę władzy. Ale nie tylko oni. O jej znaczeniu mówi też sama Biblia. – Od kiedy Adam i Ewa wyszli z raju, byli narażeni na niebezpieczeństwa i ryzyka. O ile niebezpieczeństwa przychodzą ze świata, o tyle ryzyko jest skutkiem ludzkich działań – zaskoczył nieco swoim wywodem prof. Piotr Sztompka, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego. A jak do ryzyka ma się roztropność? Stanowi mądrą odpowiedź samego człowieka na niebezpieczeństwa i pozwala unikać ryzyka w postępowaniu.

W przeciwieństwie do czasów starożytnych, same niebezpieczeństwa i ich skutki ważne są dziś nie tylko dla Greków. To, co dzieje się obecnie w ojczyźnie Platona, skutkuje nie tylko w tym kraju, ale i w całej Europie, a także w USA czy Chinach. – Żyjemy w czasach, w których problemy jednych stają się problemami wszystkich, a to przez globalizację – dodał prof. Sztompka.

Socjolog zadał też niezwykle ciekawe pytanie: „Czy bycie roztropnym to unikanie ryzyka?”. Przecież gdyby Kolumb nie zaryzykował podróży morskiej do Indii, nie odkryłby Ameryki. Gdyby Armstrong nie ryzykował, lecąc

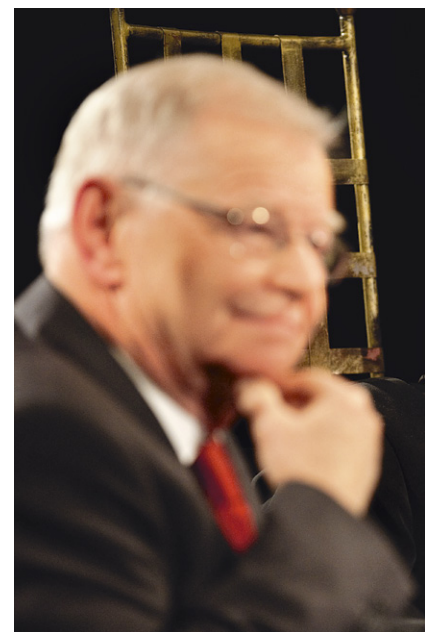
w kosmos, człowiek nie wylądowałby na Księżycu, a gdyby nie ryzyko Lecha Wałęsy, być może wciąż tkwilibyśmy w komunizmie. Idąc tym tropem, musimy stwierdzić, że są sytuacje, w których nie ma sprzeczności pomiędzy roztropnością a ryzykiem.

Zaproszona na debatę Barbara Labuda, obecnie ambasador RP w Luksemburgu, zauważyła, że roztropność to cnota, która może uratować samą Unię Europejską. Według niej, UE w porównaniu z innymi częściami świata jest obszarem dobrobytu. Są tutaj najszerzej przestrzegane prawa pracownicze, istnieje równość kobiet i mężczyzn, jak rzadko gdzie na świecie młodzież może się tu wszechstronnie rozwijać, a seniorzy objęci są wieloma programami ułatwiającymi życie. – Można wyliczać dalej dobra, o których często zapominamy. Sama Unia powstała w obliczu zagrożenia i jest projektem łączącym pragmatyzm z idealizmem – podkreśliła B. Labuda. Byłoby bardzo źle, gdyby to dobro zanikło.

Kontynuując myśli pani ambasador, zarówno prof. Hołówka, jak i prof. Sztompka podkreślili wartość roztropności dla dobra samej demokracji, która przestanie funkcjonować, gdy wpadnie w ręce głupców.



Czy w XXI w. dyskusja o cnotach ma jeszcze rację bytu? Uczestnicy debaty przekonywali, że tak



Roztropni jak ryz

Oczywiście demokracja to ryzyko podejmowane nie tylko przez przywódców, ale także przez obywateli. Ci powinni głosować w wyborach po uprzednim namyśle, a później polityków rozliczać. Sami przywódcy winni natomiast kierować się arystotelesowską zasadą złotego środka, szukając drogi pośredniej pomiędzy przemyśleniem decyzji i odwoływaniem się do ekspertów, a determinacją i odwagą w podejmowaniu trudnych werdyktów. Nawet wówczas gdy nie wiadomo, jaki przyniosą skutek.

Między lękiem a zuchwałością

Od starej gdańskiej dewizy *Nec temere, nec temide*, czyli bez bojaźni, ale i bez zuchwałości, rozpoczął się drugi dzień Areopagu (13 XI). Prowadzona podczas niego debata w przeciwieństwie do trochę akademickiej dyskusji dnia poprzedniego na nowo przypominała o niełatwej historii najnowszej Polski.

Sama dyskusja o roztropności w naszych dziejach rozgorzała po retorycznym nieco pytaniu prof. Andrzeja Friszkego, historyka ze Studiów Politycznych PAN: „Jak się buntować, żeby zwyciężyć?”. Profesor zauważył, że tytułowa

cnota musi w pewnych momentach historii iść w opozycji do odwagi. Ale nie w sposób totalny. Według historyka, w XX w. istniało kilka momentów, w których Polacy przejawiali odwagę w odpowiedniej proporcji. Tak było w 1918 r., ale i w 1956 r., po odwilży gomułkowskiej, kiedy z więzień wyszli więźniowie polityczni i duchowni, wśród nich kard. Stefan Wyszyński, a margines wolności został przez Polaków znacznie poszerzony. To sytuacje z działalności opozycji, gdzie odwaga buntu i sprzeciwu łączyła się ze świadomością samoo graniczeń, niepójścia za daleko oraz umiejętnością powściągnięcia emocji i pragnień. Profesor Friszke przypomniał momenty, gdy w ruchu społecznym, jakim była „Solidarność”, odrzucono w załączku wszelkie próby zbrojnego oporu. Na studzenie emocji działało na pewno dramatyczne doświadczenie powstania warszawskiego.

– To przykład rozropnej polityki historycznej. Powstanie było używane jako przykład, z którego czerpała „Solidarność”, dlatego swoją rewolucję przeprowadziła zupełnie w inny sposób – podkreślił Ołdakowski. Wyjaśniając jednak fenomen powstańczej Warszawy, dyrektor zauważył, że totalitaryzmy

zawieszają racjonalność. W skrajnych warunkach, kiedy okupanci przekroczyli granice racjonalności, liczyło się już tylko przywiązanie do podstawowych wartości.

O wykluczeniu się rozropności i rozwoju społeczeństw mówiła prof. Mirosława Marody, socjolog i psycholog społeczny z UW. – Stoczniovcy gdańscy, rozpoczynając strajk w sierpniu 1980 r., zachowali się absolutnie nieroztropnie, wbrew trzeźwej ocenie sytuacji. „Co oni robią?” – pytano. Jednak skutek ich działania zainicjował dla Polski nieograniczony rozwój – podkreśliła. W dyskusji motyw powstania warszawskiego i „Solidarności” wracał zresztą nieustannie. Suche nitki na warszawskim zryw nie zostawił Tomasz Łubieński, prozaik, dramaturg i eseista. – Prawdziwy koniec powstania jest na Powązkach, tam widać las krzyży – argumentował. Sam prof. A. Friszke, jak na historyka przystało, zachował w ocenie tego dramatu powściągliwą postawę. Podkreślając kontekst okoliczności zewnętrznych, czyli położenie Polski pomiędzy dwoma potęgami, podkreślił, że „byliśmy w sytuacji wyboru wolności albo zagłady”. – Wówczas właściwie żadna polityka polska nie mogła

przynieść pozytywnego skutku – dodał. Polacy zdecydowali się działać, rzucając wszystko na jedną szalę, z nadzieją na wygraną.

Rozładowując nieco gestniejszą atmosferę, Jan Ołdakowski postulował, aby postawa młodzieży w trudnych obecnie czasach była kształtowana zajęciami z edukacji ekonomicznej. Tak, żeby młodzi ludzie orientowali się w świecie, potrafili zrobić biznesplan, a w przyszłości tak zaciągać kredyty, żeby ich nie przerosły. – Trzeba także wspierać aktywność ludzi. Zwłaszcza w organizacjach pozarządowych, fundacjach i stowarzyszeniach – dodał.

Wreszcie swoiste remedium na lata obecnego kryzysu dał prof. Friszke. Z rejestru grzechów przywołał dwa: chciwość i nieumiarkowanie. – O ile za nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu karze nas samo ciało, o tyle nad chciwością musimy panować sami – zauważył. Czy zatem rozropność Polaka żyjącego w XXI w. to umiejętność zauważania potrzeb drugiego człowieka i życie, choć skromne, to jednak spokojne? Być może przyjdzie nam się o tym boleśnie przekonać, gdy i nas dotknie grecki syndrom. Niekoniecznie ten dotyczący cnót... ■



Profesor Jerzy Bralczyk i prowadzący Maciej Wierzyński (na pierwszym planie)



Ambasador Barbara Labuda
PO LEWEJ:
Dyrektor MPW Jan Ołdakowski

ykant Kolumb



Galeria Starych Zabawek w Gdańsku

Spadkobiercy wzruszeń

Nie tylko dzieci czekały na **otwarcie tego muzeum**. 90-letnia pani popłakała się, gdy zobaczyła zabawki, jakimi bawiła się w dzieciństwie.

Wojciech Szymański, współwłaściciel Galerii Starych Zabawek, od 15 lat zbierał modele motocykli. Potem zaczęły go interesować także samoloty i wozy strażackie.

– Na początku wspierałam męża w jego pasji, potem sama się nią zaraziłam. W pewnym momencie zdecydowaliśmy pokazać naszą kolekcję większej publiczności – wyjaśnia Bernadeta Szymańska, która zebrała unikatową kolekcję lalek. We wrześniu w Gdańsku otworzyli Galerię Starych Zabawek.

Fajniejsze niż w domu

Szymańscy mają się czym dzielić, ich zbiór liczy bowiem ponad 1000 eksponatów. Co ciekawe, 90 proc. kolekcji stanowią zabawki produkcji polskiej, pochodzące z lat 1920–1989.

Przedmioty prezentowane na ekspozycji będą dla wielu osób okazją do odbycia sentymentalnej podróży, która na pewno przypomni im beztroskie dzieciństwo. Najmłodsi będą mogli zobaczyć zabawki, którymi bawili się ich rodzice, dziadkowie, a nawet pradziadkowie. – Dzieci często mówią, że nasze zabawki są fajniejsze od tych, które mają w domu. Częścią plastikowych zabawek z lat 70. XX wieku mogą się tu pobawić. Ale największą furorę

robi podskakujący pajak – mówi pani Bernadeta.

W galerii można zobaczyć najstarszą w kolekcji lalkę, wyprodukowaną w okresie międzywojennym w kaliskiej Fabryce Lalek Adama Szrajera, słynne misie w kratkę z czasów PRL-u albo ponad 200 blaszanych pojazdów, m.in. rzadko dziś spotykany kombajn zbożowy z 1956 r., traktorki, samochody, autobusy, tramwaje. Są też lalki Kiki, kuchenki i akcesoria kuchenne dla lalek, wagi sklepowe, harmonijkowe kotki i wiele innych. Szymańscy mogliby o nich opowiadać godzinami.

Eksponaty ze śmietnika

– Samolot wyprodukowany w 1943 r. w fabryce Minerwa w Przemysłu jest doskonałym dowodem na to, że nawet w czasie wojny w Polsce produkowano piękne zabawki. Po nakręceniu kluczyka aeroplan jedzie do przodu, kręca mu się śmigła. Dzięki kamieniowi, jakiego używa się

w zapalniczkach, z karabinu sygnalizacyjnego – wyjaśnia Wojtek.

Po II wojnie światowej władze zabraniały produkcji zabawek militarnych. Jedynym miejscem, gdzie można było kupić mało skomplikowane pistoleciki na korki czy kapiszony, produkowane przez tzw. prywaciarzy, były bazyry i odpusty. Gdy w 1966 r. pojawił się serial „Czterej pancerni i pies”, wszystkie spółdzielnie pracy w Polsce oszalały i każda produkowała swojego „Rudego”. – Mam m.in. egzemplarz z 1968 r., gdzie jest specjalny magazynek na dwie baterie, które dziecko nosiło na szyi. Jest też pilot do sterowania. Nie było wtedy przewodów gumowych, więc ten egzemplarz jest w oplocie bawełnianym – tłumaczy Wojtek.

Zapewne wielu spośród naszych czytelników też pamięta takie eksponaty

Skąd wzięła się ich kolekcja? Zabawek szukali wszędzie, w internecie, na giełdach, targach staroci, po ludziach. Raz, gdy wracali z wesela, zabrali ze śmietnika wyjątkową hulajnogę.

– Okazuje się, że ludzie pamiętający te zabawki, podchodzą do nich bardzo emocjonalnie. Zdarzały się nam osoby, które popłakały się ze wzruszenia. Staliśmy się spadkobiercami tych emocji i wspomnień. Okazuje się, że nasze marzenia, by otworzyć muzeum, miały sens – wspomina Bernadeta. – To nie jest zwykły biznes, robimy to dla wszystkich, te reakcje dodają nam skrzydeł. Warto było w to włożyć tyle pracy – dodaje Wojtek.

Ich kolekcja ciągle się powiększa. Niedawno ich „zabawkowy” przyjaciel, 82-letni Tadeusz Floriański, który pochodzi ze Lwowa, wypożyczył im na wystawę ręcznie malowane miniaturowe ołowiane statki z lat 30. XX wieku oraz wagon kolejowy, wykonany własnoręcznie przez jego ojca przed wojną.

Katarzyna Moritz

Galeria Starych Zabawek, Gdańsk, ul. Ogarna 117/118, czynna jest codziennie oprócz poniedziałków, w godz. od 11 do 18. Więcej na stronie internetowej www.stare-zabawki.pl



Cantores Minores Gedanenses śpiewają od 30 lat

Zgrana ekipa na wysokim C

– Jako 21-letnia dziewczyna w 1996 roku samodzielnie dyrygowałam zespołem podczas konkursu „Maria Cantat”. Wrażenie nie do opisania.
Po śmierci profesora Gudela w 2002 roku przejęłam prowadzenie chóru – opowiada Ewa Mazur, obecna dyrygentka.



MACIEJ CIEMNY

Chór w parafii pw. Bożego Ciała na Morenie powstał w 1981 r. Śpiewa do dziś. Właśnie obchodzi jubileusz 30-lecia istnienia. To zgrany zespół. – Rodzinny, bo wielu z nas przyprowadzało tu swoje dzieci – cieszy się Piotr Witczak, bas.

Cantores Minores Gedanenses powstał z inicjatywy śp. profesora Joachima Gudela, wykładowcy Akademii Muzycznej. Chór ma na swoim koncie liczne sukcesy. Występował m.in. we Włoszech, Niemczech, Austrii, Francji, Litwie, Kaliningradzie.

Maria Walczyk, sopran, jest w zespole od początku. – Śpiewam od 10. roku życia. Po przeprowadzce na Morenę bardzo brakowało mi chóru, więc poszliśmy z mężem na próbę, jak tylko dowiedzieliśmy się, że powstaje – opowiada. Kiedy w 1988 r. śpiewali przed Ojcem Świętym, pani Maria była solistką. – To profesor „upatrzył” sobie mnie i przygotował – wspomina z uśmiechem.

Dyrygentka w szkolnym mundurku

W styczniu 2010 r. wzięła udział w Festiwalu „Świętojańskie Kołędowanie”, a w marcu 2010 r. zajęła II miejsce na IV Pomorskim Festiwalu Pieśni Wielkopolskiej w Kielnie. Znają ponad 500 pieśni oraz chorały gregoriańskie. – Kon-

sekwentnie raz w miesiącu dodaje nową rzecz – wyjaśnia dyrygent Ewa Mazur.

Dla pani Ewy wakacyjna przystojna stała się pasją na całe życie. Profesor Gudel pewnie dostrzegł jej talent, bo zaczęła dyrygować już jako 15-latką. Jak jej się pracuje? – Moi chórzycy są najlepsi. Bardzo zdyscyplinowani, ufają mi, wszyscy mamy szacunek dla siebie. Przed koncertem jubileuszowym mają prawo być zmęczeni, więc czasem mówię do nich: „Wiem, że macie dosyć”, na co odkrzykują: „Nieprawda, chcemy jeszcze!”. Są niezastąpieni – twierdzi pani Ewa.

Stocznowiec werbuje

Są małżeństwa, które śpiewają razem. Należą do nich Grażyna i Ryszard Włodarczykowie, sopran i bas. – Śpiewałam w chórach od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Śpiew daje mi siłę, radość, satysfakcję. Wyjeżdżałam z chórem m.in. do Niemiec, Włoch, Francji. Pod katedrą św. Klary w Asyżu zaśpiewaliśmy „Gaude Mater Polonia”. Zaczęli się schodzić Polacy, którzy to usłyszeli. Powojenna emigracja, bardzo serdeczna. Takie spotkania to trema, ale też i radość – mówi pani Graży-

na. – Żona mnie wciągnęła. Teraz nie mieszkamy już na Morenie, ale dojeżdżamy tu z Klukowa. Jak nie ma chóru, to człowiek jest chory – dodaje pan Ryszard.

Niektórzy przyznają wprost, że chóralny śpiew działa na nich jak... narkotyk. – Śpiewałam już jako 6-latką. Teraz od 27 lat jestem tutaj – opowiada Jadwiga Lubert, alt. – Każdy głos jest ważny, dlatego nawet gdy pracowałam na zmiany, to nie rezygnowałam z prób – dodaje.

Jan Miciński, bas, śpiewał z chórem od samego początku. W 1996 r. przeprowadził się na Kiełpino, gdzie również angażuje się muzycznie. Wrócił na Morenę na przygotowania do jubileuszowego koncertu. – Kolega ze stoczni mnie zwierbował. Chór to kontrast dla takiej pracy, ale przecież na kontrastach się w życiu bazuje – wspomina z uśmiechem. Czy inni stoczniovcy nie traktowali pobłażliwie takiej pasji? – Skądże! Potrafili ją uszanować. Zresztą to hobby dodawało sił do pracy. Z taką odesknością w stoczni było łatwiej – dodaje pan Jan, w którego rodzinie śpiew stał się już trady-

Jubileuszowy koncert chóru odbył się w sobotę 19 listopada

cją. Do dzisiaj w chórze śpiewa jego córka Małgorzata Połubok.

Monika Jastrzemska, sopran, należy do pokolenia, które też trafiło

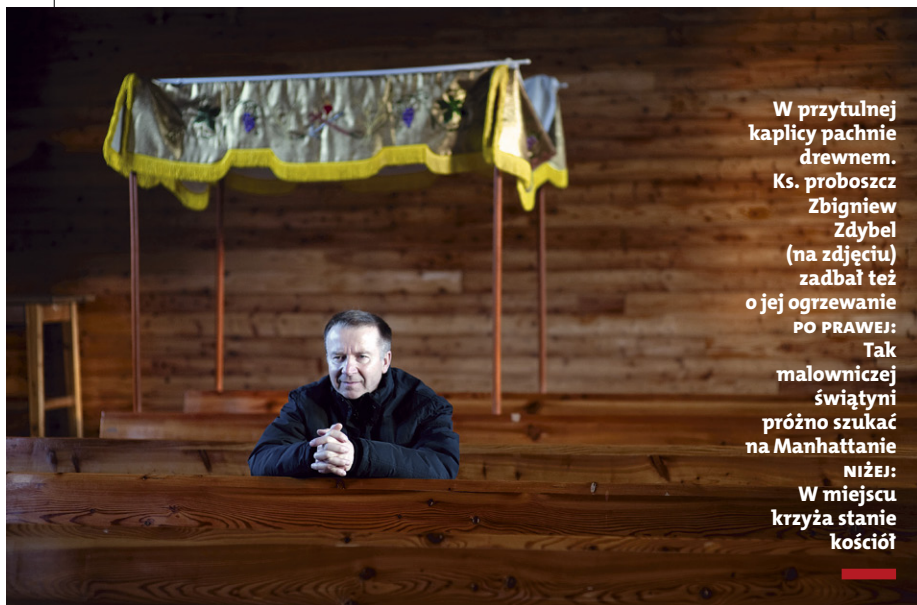
do zespołu zachęcone przez swoich rodziców. – Przyciągnęła mnie moja mama, Maria Walczyk. Miałam przerwę na wychowanie dzieci, ale wróciłam – mówi.

Ludzie zaopatrują

Są też osoby, które, zanim odważyły się zaśpiewać, najpierw przez wiele lat wspierały działania chóru. – Za namową profesora Gudela zbierałam datki na organy do kościoła. Namawiał mnie, żebym zaczęła śpiewać. Uczyla matematyki, bałam się o głos, ale odkąd jestem na emeryturze, śpiewam razem z chórem – mówi Halina Gostomska, alt.

Sprawami organizacyjnymi zajmował się m.in. Piotr Witczak. – Dawniej, wyjeżdżając, braliśmy ze sobą całe zaopatrzenie. Jedzenie, garnki, nawet butle gazowe. Były dyżury, kto kiedy gotuje, kiedy sprząta. Człowiek żył tym wszystkim. Z tego zrodził się szacunek, jakim się dziś obdarzamy – konkluduje.

Maciej Ciemny



W przytulnej kaplicy pachnie drewnem. Ks. proboszcz Zbigniew Zdybel (na zdjęciu) zadbał też o jej ogrzewanie
PO PRAWĘJ:
 Tak malowniczej świątyni próżno szukać na Manhattanie
NIŻEJ:
 W miejscu krzyża stanie kościół



ZDJEŃCIA KS. SŁAWOMIR CZAJEJ

Parafia wśród lasów

Banki, kredyty i zdrowy rozsądek

– **Kościół w internecie nie wypatryliśmy.** Pierwszy raz zobaczyliśmy go podczas spaceru w tym roku. Jest cudowny – mówią Monika i Jacek Luniewscy, od niedawna mieszkańcy Kąpina.

Wypatrywanie miejsca pod przyszły dom zaczęło się w Nowym Jorku, na Manhattanie. Tam Luniewscy spędzili większość swojego dotychczasowego życia. Postanowili wrócić do Polski, żeby tu wychować swoje dzieci i nie żyć w betonowej pustyni.

„Przy szpitalu prosto”

Tak mniej więcej śp. bp Zygmunt Pawłowicz poinstruował przyszłego proboszcza parafii Matki Boskiej Fatimskiej ks. Zbigniewa Zdybla, jak ma jechać do swojej nowej duszpasterskiej placówki. Do Kąpina przez las wiodła wówczas jedynie polna droga. Sama wieś bardziej przypominała wtedy dawny PGR, który tu funkcjonował, niż osiedle pięknych domów, którym jest dzisiaj. – Podjechałem do sklepu w starej wiosce. Kupiłem sobie jakiś napój, bo pić się chciało, i mówię, że tu ładnie... – wspomina pierwsze „bliskie spotkanie trzeciego stopnia” ks. Zdybel. Na te słowa inny klient sklepu i sama sklepowa zamarli. Ubrany po świecku kapłan poczuł lodowate spojrzenie ekspedientki: „A pan to pewnie z tych nowobogackich złodziei!” – Ja wtedy: – Co pani tak od razu...

A ona, że tu nikt z własnej pensji się nie buduje! – dodaje ks. Zbigniew.

Dziesięć lat temu nowo wybudowanych domów było około 100, a potencjalnych parafian, łącznie z dziećmi, mniej niż 400. Za mało na tworzenie parafii. Po roku ks. Zbyszka wezwał już abp Tadeusz Gocłowski. Parafia została utworzona 1 lipca 2002 r.

Nowy proboszcz zamieszkał pod gościnnym dachem ks. prałata Daniela Nowaka, który już w 1998 r. wybudował w Kąpinie kaplicę. Pomagali mu w tym ofiarnie m.in. dwaj rekrucci. Wcześniej funkcjonowała tu jedynie kapliczka, wybudowana w 1927 r. przez rodzinę Napierałów w należącym do niej majątku, na wzór jednej z kaplic wejherowskiej kalwarii. Rodzina bogatych gospodarzy została zamordowana w Piaśnicy, a samo gospodarstwo stało się po wojnie dużym PGR-em.

Spotkanie w sklepie było swoistym znakiem, że łatwo tu nie będzie. – Na początku ludzie byli zajęci swoimi sprawami, kończeniem budów. Często na Mszę św. jeździli do Wejherowa – mówi ks. proboszcz. Przyjechali tu młodzi ludzie z Gdańska, Gdyni, Wejherowa. Jednym słowem: miastowi.

Budowanie więzi

W sierpniu 2002 r. ks. proboszcz poszedł po domach, żeby się przedstawić. – I żeby zobaczyli, jak wyglądam – śmieje się. W Kąpinie proboszcz chodzi zresztą po ludziach regularnie. Tak też zbiera pieniądze na budowę. Co ciekawe, najbardziej denerwuje to Świadków Jehowy. – Są źli, że im odbieram chleb! No, serio. A po ludziach chodzę

co miesiąc. Jest nawet grafik – uśmiecha się. Zresztą to chodzenie to nie tyle pomysł proboszcza, co samych parafian. Ci, którym zależy na budowie kościoła, a więc członkowie rady parafialnej, chodzić nie chcieli i zaproponowali, żeby proboszcz sam to zrobił. Był też pomysł, żeby na początek wziąć jakiś mały kredyt, tak z 50 tys. zł. – Pojechałem nawet do Wejherowa, ale dyrektor banku mi mówi, że i owszem, ale dwie parafie opornie płacą zaległości – wspomina.

Potem był bank w Gdyni. Nawet chcieli chętnie udzielić kredytu, ale na całość. – Pani dyrektor, która znała Kąpino, odradzała. Powiedziała, że z doświadczenia wie, iż jak zbuduję kościół, to potem będzie problem z ofiarnością, bo ludzie zobaczą, że już wszystko mają – dodaje. Mówiła jeszcze, że ludzie są czasem jak małe dzieci i że radzi, żeby ksiądz poszedł do parafian i po prostu „zabrał”. „Dla księdza to w końcu żadna ujmą” – powiedziała na odchodne. I pewnie miała rację.

W tej chwili wybudowana jest plebania, liczba parafian podwoiła się, ale na budowę samego kościoła trzeba będzie poczekać jeszcze kilka lat. Tym bardziej że pojawia się coraz więcej domów na sprzedaż. Ludzie nie dali rady właśnie... z kredytami. Do podziału na działki czeka jeszcze 112 ha popegeerowskiej ziemi. Ale to też nie tak prędko. Pewnie o wiele szybciej powstanie parafialny cmentarz.

Pachnie drewnem

– Kaplica wydaje się mała, ale sporo osób do niej wchodzi. Uwielbiam ten zapach drewna. Tęskniłam za polską atmosferą – mówi Monika. Wokół zresztą same lasy i zapach żywicy. W kaplicy został też ochrzczony mały Michaś Luniewski. Jedne z osiemnastu chrzczeń w tym roku, bo ślub był tylko jeden. W tym roku nowych parafian czeka też pierwsza kąpińska Pasterka. Co ważne, świątynia jest ogrzewana, a samo drewno, wiadomo, ciepło trzyma dobrze. Jak wieść gminna niesie, atmosfera jest niepowtarzalna.

Ks. Sławomir Czajej